



## Andrzej Dąbrowski

część I z II

Sygnatura notacji: **N1284**

Data urodzenia: **04.02.1950 r.**

Data nagrania: **26.07.2018 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Tomasz Sikorski: Proszę nam opowiedzieć, gdzie i kiedy pan się urodził, o rodzicach, jak się nazywali, czym się zajmowali, o dzieciństwie i młodości.**

**Andrzej Józef Dąbrowski:** Urodziłem się 4 lutego 1950 roku w Warszawie. Wychowywałem się w podwarszawskim Świdrze, bo moich rodziców wyrzucono z Warszawy z powodów politycznych w czasie, kiedy ojciec siedział w stalinowskim więzieniu. Mam dwie siostry bliźniaczki, młodsze ode mnie o trzy i pół roku. Mój ojciec, Józef Dąbrowski, był wcielony jako student Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie do Armii Czerwonej, z której zdezerterował i jego życiorys właściwie byłby świetnym scenariuszem dla filmu. Ukrywał się w różnych częściach Związku Sowieckiego i w końcu przy pomocy Gruzinów jakoś trwał, głównie w jakichś ziemiankach, lasach. W końcu przytuliła go piękna Rosjanka i ryzykując wszystko, dlatego że w miejscach publicznych na różnych słupach ogłoszeniowych były zdjęcia mojego ojca, że się poszukuje dezertera z Armii Czerwonej, a za ukrywanie, za pomoc grozi też wysoka kara. Ojciec zdezerterował dlatego, że polskich żołnierzy nie ćwiczyli, nie uczono sztuki wojennej, tylko zatrudniono w sierzbatkach, w kamieniołomach do najcięższych prac, a także do pracy w kopalni. Ojciec tego nie wytrzymał. Nie zdążył do armii Andersa, kiedy się ona tworzyła, ponieważ nie miał odpowiednich papierów i został złapany i wsadzony do więzienia z wyrokiem czapa, czyli wyrokiem śmierci, i przysługiwało mu napisanie ostatniego listu. Napisał do tej pięknej Natalii, bo tak się ta dziewczyna nazywała, list pożegnalny. W tym czasie armia Andersa wyszła, dziewczyna była na tyle przytomna, że kiedy tworzyła się nowa armia, kościuszkowska dywizja, ona napisała do Wandy Wasilewskiej: „W więzieniu takim i takim jest wasz człowiek, który przed wojną skończył podchorążówkę – bo zanim się zaczęło studia, trzeba było pójść na rok do podchorążówki – a szukacie oficerów”, i Wan-

da Wasilewska pomogła wyciągnąć mojego ojca z więzienia. Ojciec był dowódcą takiego oddziału odpowiedzialnego za konie w tej dywizji i tak doszedł do Lublina, wyzwalając, prawda, te ziemie i tracąc ziemie wschodnie, bo ojciec urodził się we Lwowie, wychował się w Czortkowie. Ziemie, które mu były najbliższe, tracił. W Lublinie zobaczył dziewczynę bardzo podobną do tej Rosjanki, która go uratowała i zakochał się w niej na zabój – to była Daniela Ziębianka, absolwentka Lubelskiej Szkoły Handlowej, i związał się z nią tak intensywnie, że powstało z tego małżeństwo i z tego małżeństwa powstało troje dzieci. Kiedy Warszawa została wyzwolona, ojciec, ponieważ pod Lenino otrzymał dwie kule i miał też niesprawne ucho, został wycofany i skierowany do organizacji zaplecza takiego zaopatrzeniowego, w intendenturze wojskowej pracował zgodnie ze swoim wykształceniem, bo skończył przedwojenne Gimnazjum i Liceum Handlowe we Lwowie, zanim się dostał do tej Akademii Handlu Zagranicznego. Rodzice zamieszkali w Warszawie, wyremontowali mieszkanie, które im przydzielono na rogu Narbutta i Wiśniowej, ale jak powiedziałem, nie długo się nim cieszyli, bo ojca mojego za domniemany sabotaż wsadzono do więzienia, najpierw z wyrokiem dwunastu lat. Ponieważ tego sabotażu się nie dało udowodnić, to ten wyrok był stopniowo zmniejszany, niemniej w tym czasie mamę wyrzucono do Świdra, do takiego letniskowego baraku w stylu świdermajer, który miał swój architektoniczny urok i ciekawe położenie, bo blisko rzeki, natomiast nie miał żadnych wygod – nie było tam wody, były kłopoty ze światłem, nie było oczywiście żadnej łazienki, ubikacji i tak dalej, i tak dalej, więc raczej się zażywało warunków wygnaniowych, a poza tym mama, miejska osoba z Lublina, jakoś nie przywykła do warunków takich prymitywnych, jakie tam panowały. Myśmy się w tym Świdrze wychowywali, przymarzając nocami w zimę – wtedy były zimy ostre – i zażywając z jednej strony świeżego powietrza, uroków rzeki, rzeczywiście bardzo takiej atrakcyjnej, zwłaszcza dla dzieci, bo płytka rzeka. Tam się wychowywaliśmy, tam skończyłem szkołę podstawową i później, ponieważ była reorganizacja, byłem przypisany do liceum ogólnokształcącego w Otwocku. Ono w pewnym momencie przyjęło nazwę imienia Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, poety związanego z Aninem, ze Świdrem, z Otwockiem, piszącego o sosnach otwockich, więc pani dyrektor Anna Solska wymyśliła, że to najlepszy patron dla tej szkoły. Anna Solska, dyrektorka tego liceum, była wdową po rotmistrzu Adamie Solskim, zamordowanym w Katyniu razem ze swoim bratem Kazimierzem Solskim. Postać Adama Solskiego jest prototypem postaci rotmistrza Andrzeja w filmie Wajdy – Adam Solski to jest ten pan, który prowadził do końca zapiski w tym kalendarzyku, które potem zostały znalezione i są takim dokumentem nie do przecenienia. Po wojnie został wywieziony jako skarb, jako relikwia swoista i ulokowany w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych, oryginał jest tam, tak że Wajda konsultował się z moją polonistką, Ewą Solską, która była córką Anny Solskiej i rotmistrza Adama Solskiego, i w filmie Wajdy ta żona czekająca i córeczka czekająca na ojca, są wzorowane na postaciach dyrektorki naszego liceum Anny Solskiej i naszej polonistki Ewy Solskiej. Po zdaniu matury w sześćdziesiątym siódmym roku znalazłem się na studiach polonistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, jakoś tam najłatwiej mi się było dostać, bo wtedy bardzo trudno się było dostać na uczelnie, a ja jestem z wyżu. Marzyłem o wydziale filozofii, interesowała mnie socjologia, ale w tym czasie przyjęcia na te wydziały nie było. Ponieważ dużo czytałem i jakoś literatura wchodziła mi do głowy i sam pisałem, podobno nienajgorzej, jak twierdziła Ewa Solska, więc wyłądowałem na polonistycę, ukończyłem studia polonistyczne, a po nich zamiast zostać w tworzącej się Katedrze Komparatystyki pod kierownictwem profesor Janiny Kulczyckiej-Saloni, jednak zdecydowałem się zdawać do Szkoły Teatralnej na studia podyplomowe w zakresie teatralno-literackim. Miałem jeszcze drugą propozycję, żeby pracować w pracowni Teatru Współczesnego w Instytucie Sztuki pod dyrekcją Stanisława Marczaka-Oborskiego, ale skoro się dostałem do tej szkoły teatralnej, to postanowiłem spróbować swoich sił w pisaniu o teatrze i później w byciu reżyserem. Studiując na tych studiach podyplomowych za sprawą Jerzego Koeniga, który był jednym z naszym naukowych opie-

kunów, to był wybitny recenzent i wybitny znawca teatru, znalazłem się wśród współpracowników ówczesnego „Dwutygodnika Teatr” – zajmowałem się jeżdżeniem po Polsce i pisaniem recenzji z przedstawień, między innymi w Tarnowie, w Rzeszowie, w oddalonych od centrów, ośrodkach. Jednocześnie byłem sekretarzem literackim w Teatrze Dramatycznym miasta stołecznego Warszawy za dyrekcji Gustawa Holoubka. To był złoty okres tego teatru. Zajmowałem się nie tylko pisaniem o tym teatrze, ale wydawaniem druków, programów i tak dalej, kiedy natomiast ukończyłem szkołę teatralną, zadebiutowałem w Tarnowie w Teatrze im. Ludwika Solskiego „Czworokątem” Redlińskiego. Nie byłem bardzo przekonany, czy mogę być reżyserem i czy będę miał kontakt z publicznością, aliści w tymże Tarnowie okazało się, że przedstawienie poszło osiemdziesiąt siedem razy, jeździło do Zakopanego i było komunikatywne, no to później robiłem następne przedstawienia, ciągle nie dowierzając, że mogę je jednak robić i że będą one znaczące dla publiczności. Stało się, że właśnie było tak, że były znaczące, także komedie, które bawiły tę publiczność, w związku z tym postanowiłem zostać reżyserem dramatu i byłem nim przez dziesięć kolejnych lat, od debiutu począwszy, czyli od roku siedemdziesiątego siódmego ubiegłego wieku. Reżyserowałem w Zielonej Górze, w Gorzowie Wielkopolskim, w Słupsku, w Płocku, Łodzi, Wrocławiu. Z takich znaczących przedstawień mogę wspomnieć „Chłopców” Grochowiaka, „Emigrantów” Mrożka, „Świętoszka” Moliera we Wrocławiu i „Skąpca” w Zielonej Górze, „Wachlarz” Goldoniego w Teatrze Nowym w Łodzi, „Awanturę w Chioggi” w Grudziądzu, „Gry Kobiece” w Katowicach. W pewnym momencie pan Trzciniński, szef Wydziału Departamentu, obejrzał moje przedstawienia w Słupsku i jakoś sobie wyobraził, że ja powinienem prowadzić Teatr Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu, który wpadł w jakiś kryzys, i przymusił mnie, ministerialne polecenie dając, że ja mam być misyjny i ten teatr prowadzić, a jednocześnie częściowo miał być to teatr impresaryjny, czyli miałem zapraszać istotne przedstawienia z Polski, żeby dopełniać to, co sam robię, i to był ciekawy eksperyment, mnie się to dosyć podobało, więc prowadziłem jako szef artystyczny ten teatr przez jakiś czas. Później natomiast stałem się reżyserem i współredaktorem Drugiego Programu Radia „Solidarność”, które już istniało od paru lat, działał w Warszawie i przeniósł się do mojego mieszkania przy ulicy Wiejskiej 15, lokal 18, i tam był sprzęt do nagrywania oraz tam się nagrywało audycje na tak zwane taśmy-matki. Ponieważ były sygnały, że jesteśmy już jako radio namierzeni przez człowieka, który był – tego nie udało się sprawdzić, tego nie wiem – jakby naszą wtyką w Służbie Bezpieczeństwa, że lepiej byłoby, żebyśmy poznikali, bo już radio jest rozpracowane, no i była taka sytuacja, co robić – czy uwierzyć, czy nie uwierzyć? Tu już trwały rozmowy przy Okrągłym Stole, w związku z tym też troszkę było więcej jakby luzu i więcej takiego spokoju, mniej było obaw. Ostatecznie zdecydowałem się, mając przedtem propozycję od Timothy’ego Gartona Asha, z którym współpracowałem jako reporter w stanie wojennym i w latach późniejszych, żeby do niego pojechać, tam się schować i być redaktorem merytorycznym jego książki, którą pisał o „Solidarności”, ale jednocześnie miałem przyjaciela i jego partnerkę, Grzegorza Eberhardta i Majkę Ślaską, która została później żoną Grzegorza w Nowym Jorku, i stwierdziłem, że do Londynu to ja dołynę wpław, bo mam duże płuca i mogę długo pływać, natomiast ta sztuka do Nowego Jorku mi się nie uda, więc wybrałem Nowy Jork i tam się znalazłem w osiemdziesiątym ósmym roku na chwilę, na przeczekanie, no i na zobaczenie Nowego Jorku. Wiedziałem, że będę na tyle dzielny, że pracując przy różnych zawodach w różnym charakterze zarobię pieniądze na poznanie Ameryki. I tak się stało, że w tym Nowym Jorku zostałem do dzisiaj, bo kiedy już chciałem wyjechać to redaktor i właściciel „Nowego Dziennika”, Bolesław Wierzbiański, zaproponował mi etat w tejże gazecie, w „Nowym Dzienniku”, na stanowisku redaktora działu polskiego, i tam przez następne lata prowadziłem dział polski. Później byłem redaktorem naczelnym innej gazety, wydawanej przez Centrum Polsko-Słowiańskie i Polsko-Słowiańską Federalną Unię Kredytową, ta gazeta była dwutygodnikiem, nazywała się „Głos”. Później pracowałem jako redaktor działu kulturalnego

w Naszym Radiu, to była polska rozgłośnia działająca w Nowym Jorku, a później zostałem współpracownikiem tygodnika „Kurier Plus”, który do tej pory się ukazuje w Nowym Jorku i tam publikuje swoje artykuły do dnia dzisiejszego. W pewnym momencie Instytut Piłsudskiego zwrócił się do mnie z pytaniem, czy nie przyszedłbym do nich opracowywać dokumenty, które są tam w tym olbrzymim archiwum. Tych dokumentów jest 1 700 000, więc jeszcze prawdopodobnie moje prawnuki by miały co robić. Ja te dokumenty opracowuję, czytając jeden po drugim i streszczając, co tam jest, dla przyszłych pokoleń, dla badaczy, i współpracuję w Instytucie z pracownikami Instytutu Pamięci Narodowej, którzy przyjeżdżają pomagać nam. Głównie zajmują się skanowaniem, i to, co zeskanują, to strona po stronie ja dołączam do opisanych przez siebie dokumentów. Później także przygotowuję komunikaty o różnym charakterze – o charakterze takim naukowym, dla środowisk naukowych, dla przyszłych badaczy, komunikaty dla mediów szeroko pojętych oraz jeszcze komunikaty dla osób, które się interesują historią, ale na zasadzie takiej amatorskiej. Co znalazłem w tych dokumentach, co w tych działach jest, to jest jakby mój obowiązek. Ostatnio opracowałem wszystkie dokumenty generała Tadeusza Rozwadowskiego, a teraz zakończyłem pracę przed wyjazdem na urlop do Polski nad dokumentami Komisji Likwidacyjnej generała Żeligowskiego, dotyczącej przebiegu przewrotu majowego w dniach od 12 do 15 maja dwudziestego szóstego roku. Natomiast jeśli chodzi o moje zaangażowanie w działalność solidarnościową – kiedy nastąpiła „Solidarność”, prawda, w wyniku tych porozumień sierpniowych w Gdańsku, natychmiast się zapisałem do „Solidarności” w teatrze. Muszę powiedzieć, że w teatrach dramatycznych „Solidarność” powstała natychmiast i niemal wszyscy pracownicy z entuzjazmem przystąpili, tak że „Solidarność” działająca w teatrach, jakby w placówkach działających w trochę innej rzeczywistości, działała niesłychanie sprawnie i niesłychanie dobrze była zorganizowana. Kiedy nastąpił stan wojenny, aresztowano... Dostałem polecenie od kolegów, którzy pracowali w redakcji tygodnika „Solidarność”, który to tygodnik został zawieszony i część dokumentów najistotniejszych kolegom z „Tygodnika Solidarność” udało się pochować w różnych miejscach, między innymi w kościołach. Nie można się było poruszać, natomiast osoby, które muszą, mogły dostać takie pozwolenie na poruszanie się z powodów zawodowych. Mnie poproszono, że skoro ja jestem członkiem Związku Artystów Scen Polskich, to ja taki dokument mogę dostać pod hasłem, że jadę w sprawie pracy, poszukiwania pracy do Gdańska, i 16 grudnia pojechałem do Gdańska, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. Tam jeszcze był opór w stoczniach, większa część działaczy została internowana w różnych miejscach, ale część się ukrywała, znacznie mniejsza część. Tam w Gdańsku trafiłem między innymi do ojców paulinów przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie, jeśli dobrze pamiętam, i to było takie centrum informacyjne, idące o lepsze z centrum informacyjnym, które zaistniało na plebanii kościoła św. Brygidy pod auspicjami księdza Jankowskiego. Tam u paulinów poznałem reporterów, dziennikarzy zagranicznych, którzy przyjeżdżali do Polski, żeby na miejscu oglądać, co się dzieje, i jednym z centrów ich uwagi było Trójmiasto, czy tam będzie ruch oporu, jak on będzie wyglądał. Nie zawsze oni mieli swobodę poruszania się, w związku z tym korzystali z informatorów i osób robiących fotografie w różnych punktach miasta i przychodzących do tego centrum u ojców paulinów – księży paulinów, bo to księża paulini – i im się to oddawało. Tak poznałem tam Timothy’ego Gartona Asha, również poznałem tam księdza Jankowskiego i z nim nawiązałem wstępny kontakt. Przyjechałem, sporządziłem informacje dla tworzących się mediów podziemnych oraz informacje, które przywoziłem z Trójmiasta, szły wieczorem do Wolnej Europy i do Głosu Ameryki z Waszyngtonu. Byłem dosyć zdumiony szybkością, bo ledwo napisałem, ktoś ode mnie odbierał, to już wieczorem słyszałem to po głównych wydaniach wieczornych dzienników, i tak się jakoś zrobiło, że skoro ja uzyskałem możliwość poruszania się przez Związek Artystów Scen Polskich, to stwierdzono, że ja powinienem do tego Gdańska jeszcze raz pojechać i jeszcze raz pojechać, i rzeczywiście kursowałem wahadłowo między Trójmiastem, Elblągiem a Warszawą, przywożąc różne

komunikaty. W pewnym momencie nawiązałem łączność z księdzem Jankowskim. Dowiedziałem się, że będzie miał możliwość raz w miesiącu jeździć do Lecha Wałęsy i powiedziałem mu, że w takim razie ja przygotuję pytania, one były przekonsultowane z tymi osobami, które były w „Tygodniku Solidarność” i które tworzyły nowy tygodnik w to miejsce, „Tygodnik Wojenny”. On zaczął istnieć w lutym osiemdziesiątego drugiego roku i jeździłem z pytaniami, które spisywałem na takim zwitku pergaminu i wkładałem ten zwitek do ołówka z gumką. Kolega z „Solidarności” gdańskiej, Roman Drzewiecki, miał taką umiejętność, on skończył mechanikę precyzyjną, że umiał wybić grafit i w to miejsce włożyć ten pergamin. Na to się nakładało taką nasadkę z gumką i ksiądz Jankowski to zabierał, gdzieś tam miał schowane w kieszeni sutanny, no i do Wałęsy to docierało. Wałęsa albo odpisywał, albo przekazywał ustnie i w drodze powrotnej jak ksiądz Jankowski wracał od Wałęsy, to mi te wiadomości przekazywał, a ja je puszczałem w świat, spisałem i odbierano je ode mnie. Cały ten mechanizm, kto odbierał, co się dalej działo, nie był mi do końca znany i chciałem, żeby nie był mi do końca znany. Najczęściej zamawiał u mnie materiały wtedy Jan Doktor i jego partnerka życiowa, późniejsza chyba żona, pisarka dla dzieci Stanisława Domagalska. Oni byli takim spiritus movens tworzącego się „Tygodnika Wojennego”. W noc sylwestrową został aresztowany redaktor pracujący w „Tygodniku Solidarność”, Wojciech Brojer i jego żona Ewa Brojer, wtedy doktor, która szefowała jednemu z oddziałów w Instytucie Hematologii. Po rewizji przeprowadzonej na skutek donosów w ich mieszkaniu przy ulicy Ordynackiej zabrano ich i później Ewa trafiła do więzienia dla kobiet w Olszynie Grochowskiej, a Wojtek do więzienia w Białogłęce. Później Ewa znalazła się w Gołdapi w ośrodku internowania dla pań, natomiast Wojtka przewożono najpierw do Jaworza i później znalazł się w DarłóWKu, w znakomitym towarzystwie, bo w tej samej celi był Bronisław Geremek, profesor Amsterdamski, i Tadeusz Mazowiecki, którzy go kształtowali i przymuszali do robienia doktoratu, jako że Wojtek się specjalizował w średnio-wieczu romańskim i pisał o tym, jak sobie wyobrażano na ziemiach romańskich diabła, więc profesor Geremek był tutaj bardzo przydatny, profesor Amsterdamski uzupełniał jego wiedzę filozoficzno-historiozoficzną, a Tadeusz Mazowiecki był dalej jego szefem, jako że przedtem był jego szefem w „Tygodniku Solidarność”, tak że jak Wojtek mówił, życia tam specjalnego nie miał, a jeszcze profesor Geremek przymuszał go do lekcji francuskiego, żeby poprawić jego francuski, no ale za to kwitło życie intelektualne w tych ośrodkach internowania. Mam nadzieję, że to jest opisywane, wiem, że Wojtek został przymuszony do opisywania życia kulturalnego, w Jaworzu między innymi, gdzie panowie wystawili fragmenty „Nieboskiej Komedii”, więc bardzo ciekawe, prawda, że to szło wszystko jakoś tak duchowo i intelektualnie w górę, żeby nie wpadać w depresję. To jest taka dygresja, natomiast Wojtek był jednym z tych, którzy szukali możliwości utworzenia tego nowego tygodnika, zwanego później „Tygodnikiem Wojennym”, i kiedy jego aresztowano, to jakby ja się też poczułem w obowiązku łatania czy podwiązywania tego, czego on nie zdążył zrobić. Przed zaistnieniem „Solidarności” w latach wcześniejszych za sprawą Wojtka Brojera, wybitnego historyka mediewisty z Polskiej Akademii Nauk, znalazłem się w towarzystwie takim intelektualno-artystycznym – jedni pisali, drudzy wystawiali, trzeci malowali. Wzajemnie oglądaliśmy swoje prace, czytaliśmy i omawialiśmy, i było to wspaniałe takie życie też środowiskowe, kulturalne, a także staliśmy się grupą przyjaciół. Automatycznie się stało tak, że grupa przyjaciół, która działała w mieszkaniu Ewy i Wojtka na ulicy Ordynackiej oraz w mieszkaniu Bohdana Kosa, doktora, znakomitego polskiego kabalisty, i jego żony Ninel, malarki, w mieszkaniu przy ulicy Jagiellońskiej, kiedy Ordynacka była spalona z powodu aresztowania Ewy i Wojtka, działalność naszej grupy przeniosła się na Ordynacką i tam ta grupa stała się automatycznie grupą podziemnej „Solidarności”, jedną z komórek. Zaczęto drukować, w momencie kiedy stan wojenny został wprowadzony, to państwo Kosowie mieli 20 000 tomów „Dzienników” Tyrmanda i trzeba było to jakoś gdzieś schować, bo to nie sposób było tak od razu tego upłynnić. Automatycznie zajmowali się sprawami

drukarskimi, bo prowadzili wydawnictwo, o ile mnie pamięć nie myli, o nazwie „Los”, ale tutaj jest to rzecz do sprawdzenia, oraz zaczęli drukować ulotki i pisma antyrządowe w stanie wojennym. Później dalej kontynuowali wydawnictwa literatury, która się nie ukazywała w obiegu oficjalnym i być może od środka albo od końca lutego zaczął się ukazywać drukowany przez nich między innymi i u nich „Tygodnik Wojenny”. Ten tygodnik był drukowany początkowo przez Grzegorza Eberhardta, człowieka już zaprawionego w drukach podziemnych od końca lat siedemdziesiątych, ponieważ on przykładał rękę do drukowania „Zapisu”, a do niego się dołączył czy z nim działał świętej pamięci Norbert Pietrzak, znakomity drukarz, który też drukował rzeczy z literatury pięknej, swoje różne rozprawy na tematy historyczne, między innymi o carskiej policji działającej w Rosji, i oni stanowili nieprawdopodobny i nieustraszony zupełnie tandem drukarski. Potem jeszcze dołączył się do nich później, nie pamiętam, Tomek Parzyszek chyba – to jest do sprawdzenia imię, ale nazwisko się zgadza – tak że to był taki trójka, i w moim mieszkaniu przy ulicy Wiejskiej w jednym z pokoiów prowadzili oni drukarnię, nie tylko w moim, ale w pewnym momencie ponieważ ja reżyserowałem poza Warszawą to mieszkanie mieli jakby do dyspozycji, nie było to takie krępujące, i tam drukowali. Natomiast ja w stanie wojennym nie reżyserowałem, bo sytuacja teatrów była taka niewyraźna, niby działalność została odwieszona, ale premier było mniej, i zajmowałem się współpracą z „Tygodnikiem Wojennym” i jeżdżeniem do Trójmiasta, do Nowej Huty później i do Wrocławia. Tam miałem informatorów, których albo sam sobie znalazłem albo miałem jakieś listy lub hasła rekomendacyjne. Jeśli chodzi o Kraków, to źródłem mojej informacji była Halina Bortnowska, pracująca wówczas w „Znaku”, oraz redaktor Mieczysław Przon, członek redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Od Haliny Bortnowskiej wiedziałem dosyć dokładnie, co się dzieje w Hucie, jako że ona miała informacje prosto, że tak powiem, z poszczególnych wydziałów Huty i z liderami „Solidarności” – i tymi, którzy zostali internowani i tymi, którzy działali w ukryciu, więc miałem bezpośrednie wejścia informacyjne do kombinatu. Natomiast Mieczysław Przon zdawał mi sprawę, jak sprawa „Solidarności” jest postrzegana w Niemczech, bo to był obszar jego zainteresowania, ale także i w zachodniej Europie, i kursowałem w związku z tym już później regularnie do Huty, zaopatrzywszy się przedtem w Teatrze Bagatela prowadzonym przez mojego przyjaciela Kazimierza Wiśniaka, wielkiego scenografa, rysownika i ilustratora, współtwórcy Piwnicy pod Baranami, w taką bumagę, że mam prawo przyjeżdżać do Krakowa, ponieważ jestem przewidziany jako reżyser współpracujący w tym teatrze w przyszłości, więc jak trzeba było, to pokazywałem tę bumagę, czyli papier zaświadczący, że mam prawo przebywać na terenie Krakowa i Nowej Huty. Po jakimś czasie doszedł także Wrocław za sprawą wymiany kontaktów między tą naszą grupą z „Tygodnika Powszechnego” a działaczami z podziemnej „Solidarności” wrocławskiej, skupionymi na Uniwersytecie Wrocławskim i na Politechnice Wrocławskiej. Tam przywoziłem informacje, przywoziłem „Tygodnik Wojenny” oraz inne wydawnictwa zawsze w plecaku oraz byłem przymuszany, bo tak można powiedzieć, dosyć umiejętnie, do tego, żeby na miejscu jeszcze napisać to, co widziałem w Gdańsku, we Wrocławiu i co się dzieje w Warszawie, więc taki pan Ryszard Jasiński, doktor czy docent ówczesny na politechnice zamykał mnie w młynie w Siechnicach i kazał pisać, że nie wyjdę, dopóki nie napiszę. Ja już miałem przesyt tego pisania, więc trochę dla mnie to było męczące, no ale musiałem napisać i to się ukazywało we wrocławskim piśmie „Solidarności Walczącej” z dnia na dzień. Nigdy nie umiałem zrozumieć tej nazwy, dlatego że gazeta ta ukazywała się we wtorki i piątki, a tutaj wyglądało na to, że jak z dnia na dzień, to jest gazetą codzienną. „Solidarność” wrocławską wspominam jako najlepiej zorganizowaną. Kiedy przyjeżdżałem na dworzec, to już miałem obstawę, która sprawdzała, czy ja przywoziłem jakiś ogon, gdzieś ta obstawa szła ze mną na drugą stronę niż to główne wyjście z Dworca Głównego, tam było troszkę luźniej, i kiedy się orientowali, że ja nie mam ogona, to wtedy zabrali ode mnie plecak i już przejmowali mnie w swoją opiekę. Jak odjeżdżałem, to też czekali i sprawdzali, co się dzieje

i czy pociąg ze mną odjedzie, tak że to dosyć mile wspominał, aczkolwiek niekiedy mnie to krępowało, bo nie miałem swobody. Działalność reżyserską, tak jak wspominał, reżyserowałem w różnych miastach – w Zielonej Górze, w Gorzowie, w Słupsku – łączyłem z wyszukiwaniem kontaktów z liderami „Solidarności”, którzy tam działali, a którzy nie zostali internowani, a nawet jeśli byli internowani, to też w jakiś sposób można znaleźć z nimi łączność, i wracając do Warszawy po premierach – nie tylko po premierach, bo kursowałem, wracałem do Warszawy raz w tygodniu, dwa razy w tygodniu do domu, to przywoziłem jednocześnie informacje z regionu. Zazwyczaj to polegało na tym, że ja musiałem po prostu je spisać i przekazać do „Tygodnika Wojennego” i dalej jak coś się ekstra działo. Jeśli się coś działo w Gdańsku, w Trójmieście, rocznicowego, czy była zaplanowana akcja, no to moim obowiązkiem było pojechać tam, zobaczyć to wszystko, uczestniczyć w tym oraz od Timothy’ego Gartona Asha dostałem taki mały aparat wielkości pudełka zapatek i ważący tyle samo prawie jak pudełko zapatek, zawsze zapomniałem, że mam, i ten aparat robił znakomite zdjęcia grupowe, jak były zamieszki uliczne, akcje walk, prawda, to zdjęcia wychodziły. Dużo gorzej wychodziły portrety. Ja robiłem te zdjęcia i przekazywałem je do Londynu, natomiast materiały, które przywoziłem z Trójmiasta, z Nowej Huty i z Wrocławia odbierała ode mnie między innymi dzisiejsza profesor Hanna Zaremska, ówczesna pani doktor z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, która była jedną z asystentek profesora Geremka. Nie wiem, co dalej robiła, ale w każdym razie spotykaliśmy się w pewnych punktach na mieście i ona na to już czekała i ode mnie odbierała, zdaje się, że przekazywała to przez Ambasadę Amerykańską dalej, natomiast niektóre materiały czy te same materiały też odbierał nieżyjący już Wolfie Roeder, Austriak, który rezydował w Warszawie jako sekretarz, nie pamiętam, dziennikarza z Niemiec Zachodnich, Zimmerera, nie pamiętam w tej chwili imienia, a nazwisko się pisze przez „Z”, ówczesnego męża skądinąd Joanny Olczak-Ronikierowej, i on przekazywał to przez tego Zimmerera do Niemiec przez Ambasadę Niemiec Zachodnich, a przez siebie przekazywał to przez Ambasadę Austriacką do Austrii, to takie mechanizmy organizacyjne zapamiętałem. Kursowałem do Gdańska, ilekroć tam się coś miało zadziać, kursowałem tak właśnie do Nowej Huty i do Wrocławia – to były obszary moich zainteresowań najistotniejsze, ale także jak gdzieś wyjeżdżałem reżyserować do Łodzi, no to dostawałem kontakty na informatorów o podziemnej „Solidarności” łódzkiej, z którymi się spotykałem i te informacje przekazywałem. Tak samo było w Gorzowie Wielkopolskim. W Słupsku nawiązałem kontakt ze Stefanem Korejwo, który był jednym z liderów „Solidarności” na terenie środkowego Pomorza i od niego miałem informacje oraz później od zwolnionej z Gołdapi z internowania anglistki z jednego z liceów, Alicji Kulaszki. To byli moi świetni informatorzy, tak że przewoziłem informacje o tym, co się dzieje na środkowym Pomorzu. Kiedy zostałem dyrektorem artystycznym Ziemi Pomorskiej z siedzibą w Grudziądzu, nie robiłem pustych kursów, tam były zakłady różne takie przemysłowe, między innymi wytwarzano, zdaje się, opony i jakieś części do traktorów, i było zainteresowanie wśród robotników działalnością solidarnościową, co było ujmujące, i tym, co się dzieje w podziemnej „Solidarności”, tak że nie robiłem pustych kursów, bo jak wracałem z Warszawy do teatru, to przywoziłem cały plecak taki wysokogórski bibuły, ulokowałem ją w takim schowku w swoim gabinecie i tam ją ode mnie odbierano. Trochę było podejrzane, że przychodzą do teatru osoby, które nie przychodzą na przedstawienia i mają raczej taki prostacki wygląd, w związku z tym w pewnym momencie przekazywałem to pani Janinie Misiąszek, która była sekretarzem literackim, i ona przejmowała ode mnie tę bibułę, a w drugą stronę też przywoziła jakieś ulotki czy lokalne pisma, skromne, nielegalne, i ja je zawoziłem do Warszawy, niemniej zapotrzebowanie na tę bibułę do Grudziądza było duże, za każdym razem ten plecak miałem, mało tego, kiedy już wyjechałem do Nowego Jorku dalej było zapotrzebowanie, przyjeżdżała osoba i odbierała te podziemne materiały dla Grudziądza. Jak by pan był uprzejmy jeszcze opowiedzieć o kwestii tych wywiadów, które pan do „Tygodnika Wojennego” uzyskał, z kim, no i całą

otoczkę tych wywiadów – to jest jedno, i drugie – to, co pan już wcześniej opowiadał, że w jednym pokoju mieszkania odbywały się nagrania, w drugim odbywał się druk. Te dwa wątki gdyby pan był uprzejmy rozbudować. To zaczęło się od wiadomości przywożonych z Gdańska, najpierw od księdza Jankowskiego, a później jak się zorientowałem, że mogę mieć kontakt z Wałęsą, no to ksiądz Jankowski, wracając przekazywał mi odpowiedzi Wałęsy i to trwało przez kilka miesięcy podczas aresztowania Wałęsy. Księdzu Jankowskiemu przysługiwało raz w miesiącu widzenie z Wałęsą. Z tymi materiałami uzyskiwanymi od Wałęsy był pewien problem, bo nie raz nie miał widocznie możliwości napisania, czyli ksiądz Jankowski się musiał ich nauczyć na pamięć, i zawsze wydawało mi się od pewnego momentu, że do tego, co Wałęsa, to on dodaje jeszcze własne i szalenie mi trudno było wyczuć, co jest czyje, więc to trwało. Spotykałem się z księdzem Jankowskim, albo jeżdżąc do niego na plebanię świętej Brygidy do Gdańska, a później jeśli przejeżdżał przez Warszawę, a tak było najczęściej, w Pałacu Prymasowskim przy ulicy Miodowej po godzinach, kiedy już nie było urzędników, tam otwierał nam taki furtian i wpuszczał, nierzadko tutaj u księży przy katedrze św. Jana na plebani, pod tym takim łącznikiem łączącym katedrę z Zamkiem Królewskim, nie pamiętam, jak się to miejsce w tej chwili dokładnie nazywa, u sióstr zakonnych na Pradze na ulicy Kłopotowskiego, tam dosyć często [się spotykaliśmy] – siostry nie zawsze patrzyły na to okiem takim, bo pojawianie się księdza Jankowskiego powodowało, że może być zakon czy klasztor na cenzurowanym. Bywało tak, że ksiądz Jankowski kazał mi być w pewnym punkcie miasta i jak będzie przejeżdżał, to mnie po prostu porwie do tego mercedesa, no i tego się bałem najbardziej, bo wszyscy wiedzieli, kto ma tego białego mercedesa. Ksiądz Jankowski sam nie prowadził, tylko miał kierowcę, i nie ukrywam, że trochę się tego kierowcy bałem, bo jakoś tak na mój niuch i wizualnie nie wyglądał na osobę godną zaufania, ale kiedy wskazywałem księdzu, to ksiądz mówił: „Mów wszystko, bo to jest osoba absolutnie pewna”. Niemniej parę było takich sytuacji, że prosiłem, jak ksiądz odjeżdżał dalej do Gdańska, żeby jechać przez takie miejsca, gdzie ja wiedziałem, że mogę wyjść z samochodu i iść dalej miedzą, polami. To na ogół się odbywało między Jabłonną a Legionowem albo troszkę dalej, i tam wychodziłem z tego mercedesa i rzeczywiście żeby sprawdzić, czy mam ogon, szedłem miedzą dosyć długie kawałki, bo się zorientowałem, że nie ma możliwości – jak mam, to muszą na tę miedzę albo gdzieś, to ja te ewentualne ogony spotkam. Ksiądz Jankowski nie przyjmował zupełnie do wiadomości, że może być zagrożenie. Kiedy Wałęsa wyszedł z internowania, no to już jeździłem bezpośrednio wywiadować Wałęsę i te wywiady się odbywały albo na plebani u księdza Jankowskiego, a później Wałęsa już mnie zapraszał, żeby przyjeżdżać do niego do domu na ulicy Pilotów 17. On miał mieszkanie połączone, ponieważ miał dużą rodzinę, to dwa mieszkania na pierwszym piętrze były połączone w jedno, i widziałem tam część życia rodzinnego i jednocześnie rozmawiałem z Wałęsą, który się bał podstuchu i w związku z tym bywało, że część rozmów odbywaliśmy w łazience, gdzie woda była włączona i on miał włączone w każdym pokoju zagłuszacze – Wolną Europę – tak jak zagłuszano z tej strony oficjalnej Wolną Europę, to on zagłuszał nas Wolną Europą i zagłuszaniem Wolnej Europy, no ale jednak najbardziej istotne kwestie to pisaliśmy do siebie na kartkach – naprzeciwko siedzieliśmy na stole i ja mu pisałem pytanie, on mi odpowiadał, i za każdym razem jak wchodziłem, to pierwsze, co robił, jak się ze mną witał, to tak w milczeniu pokazywał mi, że mam być czujny. W kuchni kręciła się Danuta Wałęsowa i jej siostra, która się opiekowała dziećmi. Pamiętam, te dzieci Wałęsy były niesłychanie urocze. Problem z Wałęsą polegał na tym, że musiałem te wywiady, jak już spisałem, przywozić do autoryzacji. Kiedy przywoziłem do autoryzacji, to Wałęsa zmieniał wszystko albo już inaczej myślał, w związku z tym to wahadłowe kursowanie i przekładanie z wałęsowego na polski było dosyć trudnym zadaniem, a ja nie chciałem ryzykować i jakby przerobić coś, co jest logiczne i po polsku, a jednocześnie może być tam jakieś przekłamanie. Nie nadążało się za Wałęsą, bo on po prostu bardzo szybko myślał. Jeżdżąc do Gdańska, później już w tym

okresie spokojniejszym, czyli po zawieszeniu stanu wojennego, miałem kontakty także z innymi działaczami – z Aliną Pieńkowską, pielęgniarką zasłużoną bardzo, taką bohaterską, z nią robiłem bardzo ciekawą rozmowę, i także z jej mężem, Bogdanem Borusewiczem. Oni mi udzielił bardzo takich istotnych informacji, to, jeśli chodzi o wywiady, z Trójmiasta zapamiętałem. Tam były jakieś inne, ale w tej chwili... Miałem stałych informatorów, jeśli chodzi o tych księży pallotynów – tam był ksiądz Edmund Dutkiewicz, imienia nie jestem pewien, ale chyba Edmund, który wiedząc, że przyjeżdżam, miał zawsze pakiet informacyjny dla mnie przygotowany, albo zapraszał ludzi z różnych ośrodków solidarnościowych trójmiejskich, żebym miał ich jakby do dyspozycji, i myśmy rozmawiali w podziemiach, tam były takie pokoje gościnne u tych księży pallotynów. Są jeszcze wymienione wywiady dla „Tygodnika Wojennego”, które pan wykonał z panem Edwardem Nowakiem Tak. ...Mieczysławem Gilem i Janem Lityńskim, tak? Tak, to rozmawiałem z nimi, później z Lityńskim, bo to inna jest jakby chronologia. Bardzo ciekawa była rozmowa z Edwardem Nowakiem, który był prześladowany, aresztowany i który się bronił w sądzie, bo jemu postawiono taki zarzut, że jego działalność powoduje przestoje pracy w Hucie, to on się bronił w ten sposób, że jak może powodować straty, te przestoje, skoro się mówi, że do Huty się dopłaca i że Huta właściwie powoduje straty i nie wiadomo, czy niektóre wydziały, czy te takie ogniowe punkty nie powinny być zamknięte? W ten sposób. Bardzo takie konkretne organizacyjno-techniczne informacje mi dawał. Innego rzędu były informacje Stanisława Handzlika, bardziej takie refleksyjne. Rozmawiałem też z Haliną Bortnowską, która zajmowała się kontaktami z internowanymi z Krakowa i z Małopolski – towarzyszyła rodzinom jadącym na widzenie do punktów internowania i czasem pomagała, jak rodzina jechała z dziećmi, tak że ona dawała mi informacje nie tylko takie, co się dzieje w Hucie i w Krakowie, w środowiskach, powiedzmy sobie, intelektualnych, ale także co się dzieje w ośrodkach internowania. Od niej miałem informacje, co się dzieje w Załężu chyba koło Rzeszowa i co się dzieje w Łławie, gdzie siedział Fraszyniuk, jeśli mnie pamięć nie myli, jak oni są traktowani, jakie są kontakty z dziećmi, więc to była jeszcze informatorka bardzo cenna i ponieważ sama była redaktorem, w związku z tym te informacje były bardzo dobrze przygotowane pod względem redakcyjnym i nie wymagały jakiegś specjalnej obróbki. Już kiedy istniało Radio „Solidarność”, to radio, które się wprowadziło do mnie na ulicę Wiejską, to od czasu do czasu robiłem wywiady dla Radia z działaczami „Solidarności” w wersjach dwóch – jedno takie bardzo skrótowe dla Radia, bo to były audycje tylko dziesięciminutowe, natomiast przy okazji pytałem o inne rzeczy i to zamieszczałem w „Tygodniku Wojennym” i jednym z wywiadowanych był właśnie Jan Lityński. Od niego się dowiedziałem na przykład, kiedy były pierwsze rozmowy Okrągłego Stołu prowadzone jesienią, a później zimą, że stało się tak, że strona rządowa jest o wiele lepiej do tych rozmów przygotowana niż strona solidarnościowa, która nie do końca wierzyła, że do tych rozmów dojdzie i że one nie są jakimś rodzajem oszustwa, i w pewnym momencie, kiedy się okazało, że chyba nie, to trzeba było się gwałtownie do tych rozmów przygotowywać, bo a nuż nie są rodzajem oszustwa, a nuż coś z tego trwałego zostanie, taka była niepewność i to wiedziałem od Lityńskiego. Nie pamiętam, ale jeszcze chyba z dwiema innymi osobami też rozmawiałem i chyba jedną z rozmów dla radia zrobiłem też z Wałęsą, bo pamiętam, że na antenie on szedł. Ciekawy był ten wątek, o którym rozmawialiśmy w samochodzie, to znaczy o tej koegzystencji jakby pokoju radiowego, pokoju dziennikarskiego, no i towarzystwo za ścianą i różnych specjalnych zabiegów, żeby wzbudzić zaufanie, a raczej nie wzbudzić podejrzeń u sąsiadów z życiorysem milicyjnym. Ponieważ reżyserowałem poza Warszawą, przygotowanie przedstawienia trwało trzy-cztery miesiące, to do Warszawy przyjeżdżałem na dwa tylko dni, kiedy miałem wolne od prób, to koledzy z tej podziemnej „Solidarności” uważali, że lokal w takim razie jest zagospodarowany automatycznie przez nich i Grzegorz Eberhardt wspomniany razem z Norbertem Pietrzakiem, tym Mundkiem Parzyszkim – to chyba był Edmund, Mundek to chyba jest urobiony od Edmunda – drukowali tam. Do tego

się dokładały inne osoby, ale tego już nie wiedziałem, wiedziałem, że są, i drukowali. W jednym pokoju najpierw był skład papieru olbrzymi, farb i rzeczy potrzebnych do drukowania, a w drugim pokoju odbywało się drukowanie przez raklowanie. Kiedy ja przyjeżdżałem na dwa dni wolnego, to się w to drukowanie włączałem lub jeśli miałem jakieś przerwy między reżyserowaniem w teatrach, to się też włączałem w te prace drukarskie. Tak było przez kilka lat. Później dołączyła się sprawa, że Radio już nie miało siedziby swojej, Drugi Program Radia „Solidarność”, który był właściwie prywatnym radiem Andrzeja Federowicza i taki prowadzony przez niego biuletyn, to się nazywało „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, PWA w skrócie, tak że to była całość, najważniejsze było wydanie, no i te nasze audycje nagrywane najpierw dwa razy w tygodniu, a później raz w tygodniu. Poproszono mnie, czy ja bym się nie zgodził, żeby to radio się wprowadziło do mnie, bo oni już nie mają gdzie, wszystkie jakieś lokale się wyczerpały, no to się zgodziłem. Maja Dłużewska razem z Andrzejem Federowiczem przewieźli do mnie sprzęt, no i polecili mi nagrywanie, przygotowanie audycji i oprawę muzyczną, oprawę taką reżyserską, żeby one nie były tylko suchymi komunikatami politycznymi i informacyjnymi. To było moje zadanie, a dostawałem w ostatniej chwili zredagowane materiały, które dostarczał mi Jan Strękowski i bywało tak, że musiałem je poprzerabiać tak, żeby one na antenie brzmiały inaczej, nie sucho, no i też opracować je tak, żeby lektorzy mogli je wypowiedzieć, żeby, jak to się mówi w teatrze, „dobrze leżały w ustach”. To była moja robota, niekiedy też dokładałem własne informacje zdobyte w trakcie moich obserwacji czy podróży tych solidarnościowych. Ostateczny kształt i układ chronologiczny tych wiadomości zależał ode mnie i doszukiwałem do tego oprawę muzyczną, jakieś przerywniki, jakieś komentarze, jakieś wypowiedzi, tak, żeby to było bardzo żywe, no i to się na ogół udawało. Akustykiem nagrywającym była Zosia Sikorska, Zosia Sikora chyba, która czasem przychodziła z dzieckiem, bo nie miała co z nim zrobić, no to dziecko ja odprowadzałem do sąsiadów, bo tam było dziecko w rówieśnym wieku, taki Łukaszek, ale problem był pewien, dlatego że sąsiad mój był synem milicjantów i jego siostra też była milicjantką, więc żeby nie było żadnych podejrzeń, że coś się tutaj w tych moich dwóch pokojach negatywnego z ich punktu widzenia może dziać, to od czasu do czasu robiłem ostro zakrapiane imprezy, zapraszając osoby inne, tak żeby oni się czuli, że jesteśmy udomowieni, rodzinnie, bo to było mieszkanie podzielone – pół mieszkania należało do mnie, pół mieszkania należało do nich, więc musiałem o to dbać i udało się. Udało się, zapraszałem, udawałem, że jestem taki za pan brat, ale nie byłbym sobą, gdybym od tej siostry czy od rodziców, jeśli ich widziałem, nie wyciągał różnych informacji, jak to jest po tamtej stronie i w razie czego nie wykorzystywał. Nauczyłem się od kogoś, od takiej pani Wandy Wojnicz z „Tygodnika Solidarność”, ona tam prowadziła dział interwencji, jak to się robi, że się rozmawia o wszystkim i o niczym, zadaje się czterdzieści pytań nieistotnych, ale w nich jedno istotne, i to mi wychodziło. Tak samo jeśli chodzi o badanie różnych osób podejrzanych, czy wiedziałem, że są Służby Bezpieczeństwa, nauczyłem się przeprowadzać sprawę przez bufet, czyli tak upijać, żeby w pewnym momencie uzyskać informacje potrzebne. Nie wiem, jak mi się to udawało, ale na ogół miałem mocniejszą głowę albo tak jakoś umiałem manewrować piciem, żeby to wychodziło, że ta osoba już nie wie, co mówi, ale była na tyle jeszcze przytomna, żeby odpowiedziała mi. To mi się jakoś udawało. Więc rzeczywiście ta sytuacja trwała i jakoś ja się w niej odnajdywałem. Spałem na tapczanie pełnym papieru, za ubraniami w szafach ściennych były od podłogi do sufitu stoiki z farbami i z tymi przyrządami do raklowania, a w drugim pokoju za płaszcami, przykryte kocem, były te urządzenia do nagrywania, które się wydobywało i tam się je chowało. Nagrywanie audycji trwało różnie, bo czasem nie szło to płynnie, ale zajmowało to jednak sześć-siedem godzin. Później zostawała u mnie taśma-matka, po którą się ktoś zgłaszał albo czasem sam Andrzej Federowicz, i bardzo było przyjemnie, bo jak to było puszczone w eter, na ogół przez radio, ale bywało, że się wchodziło na Dziennik Telewizyjny, to była pełna rozkosz, że fonia była inna niż wizja, to prosiliśmy, żeby ludzie migali światłami, i obserwo-

wanie tego, jak całe dzielnice migają światłami, było jednak, powiedziałbym, bardzo wzruszające. Ja potem nie byłbym sobą, gdybym tych audycji nie rozwoził na Górny Śląsk, który był trochę opieszalszy w tych sprawach, no i odbierali w Katowicach czy Gliwicach z pocałowaniem w rękę, tak że czekali na mnie na dworcu autobusowym czy dworcach, tak że to dosyć sprawnie też szło w te regiony oraz szło jeszcze na Podbeskidzie. Ta nasza grupa podziemna drukarska miała też dobry kontakt z grupą z Podbeskidzia, na tyle dobry, że szkoliła drukarzy tamtejszych. Przyjeżdżali i między innymi w moim mieszkaniu się to odbywało, i Grzegorz Eberhardt, Norbert Pietrzak szkolili tak, żeby oni mieli możliwość samodzielnego drukowania tam. To się sprawdzało i było bardzo przyjemnie, bo nam w ramach podziękowania zorganizowali jakieś takie skromne wczasy w Międzybrodziu Bialskim. To było urocze: mieszkaliśmy w takiej pięknej chałupce u biednych ludzi, obokkozy w drugiej części, a tu my, i te kontakty z ludźmi. Wspaniałe. Grażyna Staniszevska była osobą, która bardzo dbała o to, żeby te kontakty były i bardzo długo o to dbała, tak że to tyle pamiętam, jeśli chodzi o działalność, natomiast tutaj chciałbym powiedzieć o tym ośrodku na Jagiellońskiej, który był nie tylko punktem, gdzie się znosiło informacje, robiło się i wszystkie takie sprawy techniczne za sprawą doktora Bohdana Kosa i jego żony Ninel Kameraz-Kos, ale to była także skrzynka kontaktowa, punkt taki, gdzie krzyżowały się drogi wielu bardzo ważnych działaczy „Solidarności”, łącznie z księdzem Jankowskim, który był poinformowany, że jeśli mnie złapią, to Ninel będzie na moje miejsce kontaktowała się z nim w sprawie kontaktów z Wałęsą i z działaczami trójmiejskiej „Solidarności” i pojawiał się tam niekiedy. To była dosyć ciekawa sytuacja, ponieważ Ninel się czuła Żydówką i przyjmowanie księdza Jankowskiego w porze czasem bardzo wczesnej było dla niej swoistym takim ewenementem, ale to wszystko bardzo dobrze działało. Ksiądz Jankowski nie mógł zrozumieć imienia Ninel, ale nie miałem odwagi mu powiedzieć, że to jest anagram od nazwiska Lenin, żeby już nie wzbudzać podejrzeń. Jagiellońska była bardzo ważnym i ciągle nie jest chyba docenianym przez badaczy „Solidarności” punktem Warszawy, w którym się działo bardzo wiele istotnych rzeczy, krzyżowały się też istotne myśli i oboje Bohdan Kos i Ninel pomagali wielu ludziom także znajdować mieszkania, lokować ich i tak dalej. To jest ich działalność nie do przecenienia, która trwała do końca, jakby dopóki się nie wyszło na powierzchnię po zakończeniu, po rozmowach, po Okrągłym Stole, czyli do 4 czerwca. To jest niesłychanie istotny punkt. Po powrocie z internowania Ewy Brojer i Wojciecha Brojera siłą rzeczy nie mogło to się odbywać u nich na Ordynackiej, tylko ja, jeśli się odbywało to w znacznie skromniejszym wymiarze. Moje mieszkanie było dostępne i co się działo pod moją nieobecność, to tego nie wiem i nie chciałem nigdy wiedzieć. Jeszcze może dwa słowa o pana działalności publicystycznej w tych trzech tytułach: Samorządna Rzeczpospolita, Wola, Z Dnia na Dzień. W „Tygodniku Wojennym” to byłem zobligowany przysyłać te reportaże z tych miejsc głównych, ale jak też gdzieś indziej byłem to tam. Później Wola chciała ode mnie wiadomości, co się dzieje w środowiskach teatralnych, bo tam był opór solidarnościowy dosyć duży, była sprawa tego bojkotu mediów, wypowiedzi różnych aktorów czy moje obserwacje na ten temat oraz jak się rozkładają siły solidarnościowe i antysolidarnościowe w różnych teatrach czy środowiskach teatralnych, natomiast Samorządna Rzeczpospolita, wiedząc, że ja mam przyjaciół wśród nauczycielstwa i przez jakichś parę miesięcy też paratem się jako profesor języka polskiego w jednym z liceów, to żebym ja pisał, co się dzieje w środowiskach nauczycielskich i w poszczególnych szkołach, jakie są postawy dyrektorów, i to Mateusz i Joanna Wyrwichowie wymuszali na mnie pod karą śmierci i stali jak egzekutorzy, żebym ja to pisał w odpowiednim terminie, na tym to polegało. Natomiast jeśli chodzi o „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, to on właściwie kontynuował to, co już przedtem robił „Tygodnik Wojenny”, bo to, zdaje się, było tak, że „Tygodnik Wojenny” w pewnym momencie przekształcił się częściowo w „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, tak że ja przeszedłem z jednego w drugi, no i tam dostałem właśnie to radio, które było u mnie chyba około trzech lat.